

Kroplówka

Pokój jakby znajomy. Nie, chyba jestem tu po raz pierwszy. Czysto i cicho. Ta cisza mnie obudziła. Ciekawe, ile spałem? Spałem? No, chyba tak, bo oczy otworzyłem przed chwilą. Co to znaczy „przed chwilą”? Przed kwadransem? Godziną? W takich okolicznościach czas jest pojęciem względnym, zależnym od nastroju chwili. Kroplówka sączy w moje żyły płyn regeneracyjny z prędkością odmierzaną w jednostajnym tempie. To jest moja świadomość, mój czas. Odkąd zacząłem się nad tym zastanawiać minęło kilkadziesiąt tąpnięć kropli w żyłę. Moja realność zawiera się wyłącznie w tej kroplówce. A więc jestem chory. To ciekawe, bo nic szczególnie mnie nie boli. Mało tego, mam wrażenie, że czuję się świetnie. Lepiej niż kiedykolwiek. Skąd wiem, jak się czułem wcześniej? Całe dane mi doświadczenie to ta kroplówka. Skoro tłoczy we mnie życie, to znaczy że żyję! To odkrycie zajęło mi całe wieki, ale warto było. Żyję, to już coś. Tam są drzwi a za nimi kolejna tajemnica. Jeśli naprawdę moja tu obecność nie jest fikcją, musiałem przez nie wejść. Może ktoś mnie tutaj wniósł? To prawdopodobne, bo przez jakiś czas byłem nieprzytomny. Jak długo? Tego nie wiem, ale mój zarost musi być kilkudniowy. Ręka! Tak, mimowolnie przejechałem nią po brodzie. Że ja wcześniej na to nie wpadłem! Mogę nią, mogę nimi ruszać. Jestem sprawny. Reszta? Też w porządku, ale coś ciąży mi, jakaś siła nie pozwala powstać. Jednak coś nie gra – leżę jak kłoda, chociaż każdy członek z osobna zdaje się być sprawny. To jakaś nierzeczywistość: suma organów, składających się na całość, nie stanowi jednego ciała. Głos także więźnie w gardle. A jednak jestem, kojarzę, myślę. Te drzwi, co jest za nimi? Czekać aż ktoś je otworzy? Kiedyś to chyba nastąpi? W jakich okolicznościach? Żeby zamknąć mi powieki,

namaścić? Czy ja wierzę? Cóż wiem o sobie? Za dużo tych pytań. Jestem zmęczony, zasypiam.

* * *

Śpię? Może. W każdym razie jest inaczej. Sny nie są kolorowe, ani nawet czarno-białe. Sny są żadne, dlatego po przebudzeniu rzadko je pamiętamy. Jeśli już, to chyba ze względu na bezmiar nonsensu w nich zawarty? Realność snów obowiązuje w chwili ich dziania się. Idę przed siebie. Jestem sam, choć czuję na sobie piętno setek spojrzeń. Trzymam w ręku pistolet. Skąd go mam? Nie wiem. To co wiem na pewno, to fakt, że muszę zabić kogoś bardzo ważnego. To ktoś z wyższych sfer. Trzęsie okolicą. Polityk? Mafioso? Może jedno i drugie? Wszyscy się go boją. Ja też, ale mimo to zdecydowałem się na ten krok. Dlaczego? Tego też nie wiem. Może chciałbym coś udowodnić? W tej chwili to nie ma znaczenia. Ważne żeby się udało, bo jeśli nie, ten ktoś zemści się. Nie tylko na mnie. Również na tych, którzy dali mi swoje milczące przyzwolenie, błogosławieństwo. Boję się. Na odwagę wziąłem draga. Musi pomóc. Jestem blisko. Ktoś Bardzo Ważny nie spodziewa się wizyty, jest pewny siebie, jowialny. Zapraszającym gestem przywołuje mnie do środka. Wyciąga rękę w geście powitania. I wtedy spostrzega mój rewolwer. Ktoś Bardzo Ważny jest zdziwiony, lecz na tyle opanowany, że chwyta leżący na biurku nożyk służący do cięcia papieru. Nóż nie jest ostry, ale odpowiednio użyty potrafi wyrządzić krzywdę. W momencie, w którym pociągam za spust, ostrze przebija mój bark. Wystrzał i ból następują jednocześnie. Ktoś Bardzo Ważny osuwa się na dywan. Krew płynąca z jego rany zlewa się z tą kapiącą z mojej, w której tkwi nożyk do papieru. Usiłuję uciekać, lecz nie mam sił. Padam obok ciała swojej ofiary. Zasypiam.

* * *

Czuję czyjś oddech. Dotknięcie. Sprawdzają mi puls? Czy to znowu sen? W snach nie czuje się zapachów, to już ustaliłem. A więc jawa. Biały Kitel cuchnie spirytusem. Jest ich więcej. Jakieś konsylium? Co oni mówią? Nie

rozumiem, bo szepczą, tak, żebym nie słyszał. Jakie tajemnice mają przede mną? Jestem słaby, nie mogę się odezwać, a nawet ruszyć. Dotykają mojego barku. Boli. Rana rozgorzała, jakby ktoś przypalał mnie gorącym żelazem. Może Ktoś Bardzo Ważny ranił mnie naprawdę? Co ja opowiadam, przecież to był sen. A właściwie, skąd ja wiem, co jest snem, a co nie? Na dobrą sprawę, co ja w ogóle wiem? Kim jestem? Co tu robię? Mimo że nie pamiętam takich rzeczy, pamiętam inne. Na przykład zapach spirytusu. Zastanawiające. Biały Kitel podnosi moją rękę. Czuję ukłucie. Igła wnika w żyłę. To chyba kolejna kroplówka. Skoro tak mnie faszerują, chyba jestem potrzebny na tym świecie? Coraz ciemniej. Biały Kitel rozmywa się przed oczami. Ponownie zasypiam.

* * *

Znowu letarg. Wszystko, co ostatnio przeżyłem, jest letargiem. A jednak istniało „coś przedtem”. Skupiam się, żeby przypomnieć sobie cokolwiek. Nic, kompletna *tabula rasa*. Dobrze, że pamiętam chociaż to, co dzieje się tu i teraz. No więc dzieje się tyle, że krąży wokół mojej osoby jakiś zespół medyczny, który pakuje we mnie coraz to nowe serie zastrzyków. Jednak najdziwniejsze, że nic mnie nie boli. Co więcej, mimo całkowitej amnezji w kwestii „przedtem”, potrafię całkiem sprawnie dedukować na temat „teraz” i „później”. Zachodzę w głowę, po co to wszystko, zwłaszcza, że, jak zdołałem się w chwilach półświadomości zorientować, moje członki są sprawne. A mimo to, jakiś element odpowiedzialny w mózgu za ich synchronizację, nie działa tak, jak powinien. Otwieram usta, a nie mogę nic powiedzieć. Ruszam ręką, lecz nie mogę się na niej wesprzeć. Widzę, ale nie dostrzegam tego, co istotne. Może ci w białych fartuchach właśnie tego chcą? W jakim celu więc skaczą koło mnie? Po co się mną zajmują? A jeśli już to robią, dlaczego nieskutecznie? I wreszcie najważniejsze: czemu popadam w coraz to nowe stany świadomości, budząc się a następnie zasypiając. Tak, jak teraz.

* * *

Leżę koło Kogoś Bardzo Ważnego. Upłynęło trochę czasu i niemało naszej krwi. Ale żyjemy. On ciężko oddycha a ja z trudem otwieram oczy. Patrzę w sufit utkany z kasetonów, z których każdy wart jest fortunę. Powiniennem zapewne zatrzeć za sobą ślady i uciekać, ale nie mam siły. Zresztą to nie ma najmniejszego sensu, gdyż nad naszymi ciałami pochylają się policjanci. Wymieniają między sobą uwagi. W ich głosach nie wyczuwa się podniecenia. Są opanowani aż do przesady. Najdziwniejsze, że nie próbują nas ratować, zwłaszcza Kogoś Bardzo Ważnego. Przecież oni po to tutaj przybyli, a jednak czekają aż się wykrwawi, aż się wykrwawimy. Ich nadzieje nie są płonne. Wkrótce moja ofiara, rżąc i charcząc, przenosi się na łono Abrahama. Gliniarze wkładają ciało do plastikowego worka i wynoszą na zewnątrz. Zostaję sam. Leżę na podłodze i czekam na swój wyrok. Wreszcie zjawia się lekarz. Chyba dobrze zna się z policjantami, bo razem szepczą coś do siebie. Po chwili, jeden z gliniarzy nachyla się nade mną i konfidencjonalnie pyta, co zrobiłem z teczką? Próbuję coś tłumaczyć, ale głos więźnie mi w krtani. Policjant ponawia swoje pytanie, ale ja nie potrafię nic powiedzieć. Raz, że nie pamiętam, o jaką teczkę chodzi, dwa, bo zwyczajnie nie mogę wydobyć z siebie głosu. Policjanci po raz pierwszy zaczynają się denerwować. Widać, zależy im na tej tezcze. Na pewno bardziej, niż na moim życiu. Znów naradzają się z lekarzem. Ten sięga do podręcznej walizki i wyciąga z niej strzykawkę. Sprawne medyczne oko odmierza właściwą porcję. Najpierw dawka próbna tak, by do organizmu nie wprowadzić powietrza. A potem już właściwa w moją żyłę. Po to, żebym usnął. Usypiam.

* * *

Który to już raz się budzę? Trzeci? Siódmy? Pewność w tej kwestii po tyłu oprzytomnieniach ma w sobie coś z hazardu. Jedyne co utwierdza mnie w przekonaniu, że powracam do stanu półświadomego, to ta kroplówka. Moja latarnia morska, tego muszę się trzymać. Bo skoro ona mnie faszeruje płynami farmakologicznymi, to znaczy, że wciąż liczę się w tej grze. Komuś widać na

mnie zależy, skoro nie zapakowali mnie do plastikowego worka. Lekarz nawet nie próbował ratować Kogoś Bardzo Ważnego, a mnie trzymają przy życiu. Jak wynika z przebiegu kuracji, niespecjalnie przykładają się do niej. Oni nie chcą bym stanął na nogi. Jestem im do czegoś potrzebny. Do czego? To chyba jasne – teczka. Najgorsze, że nie pamiętam jaka, ani co się z nią stało. Jeśli tak wielu ludziom na niej zależy, można zakładać, że dotyczy ona ich wszystkich. I pewnie właśnie po nią mnie wysłali do Kogoś Bardzo Ważnego. Może zawierała coś, czym szantażował moich mocodawców? Cokolwiek jest w tej teczce, mój los od niej zależy. Bo oni wcale nie wiedzą, gdzie przepadła. A więc tak długo, jak będą mieli podstawy wierzyć, że ja dysponuję wiedzą o niej, tak długo moje życie jest bezpieczne. Bezpieczne, nie znaczy wolne. Będę tu gnął, karmiony na przemian jakimiś gównami, aż moi oprawcy zorientują się, że nie mam pojęcia o żadnej teczce. A jak już się o tym przekonają, odłączą tę cholerną kroplówkę. Muszę sobie przypomnieć, co się stało z teczką. Albo wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo. To wszystko mnie przytłacza. Łeb mi pęka. Spróbuję zasnąć. Może coś mi się przypomni?

* * *

Prawie pusta piwnica. Siedzę na krześle. Jestem przymocowany pasami do jego poręczy. Pot spływa mi po ciele. Ktoś krąży wokół mnie. Nie widzę dokładnie twarzy, lecz głos jest niewątpliwie męski. Nalega, bym się skoncentrował. Zależy mu na teczce. Jest bardzo stanowczy, ale – jak do tej pory – grzeczny. Przestaje być, kiedy nie umiem udzielić satysfakcjonującej go odpowiedzi. Wtedy chwyta za moje obolałe ramię. Ból podrzuca mnie do góry. To jest argument, którym wymusi uległość. Tymczasem mdleję, a głowa osuwa mi się na ramiona. Mimo to słyszę, co dzieje się w piwnicy. Kroki wokół mnie ustają. Tylko na chwilę. Drzwi się otwierają i do środka wchodzi ktoś jeszcze. Czuję na sobie już nie jedno, lecz dwa spojrzenia. Męskie głosy wymieniają między sobą uwagi na temat moich zeznań, a raczej ich braku. Niewiele rozumiem poza tym, że Ktoś Bardzo Ważny uległ tragicznemu postrzałowi z

własnej broni w swoim mieszkaniu. Policja wyklucza wpływ osób postronnych na nieszczęśliwy wypadek. To znaczy tyle, że tuszują całą sprawę. Już nie jestem w nic zamieszany. Wyłączyli mój udział z morderstwa, którego się dopuściłem na Kimś Bardzo Ważnym. Powinienem się cieszyć, ale nie mogę. Zacierają ślady, eliminują niewygodnego, koronnego świadka zbrodni, a zarazem jego prawdziwego sprawcę. Do kompletu brakuje im tylko tej teczki. Chluśnięcie zimnej wody wyrywa mnie z omdlenia. Zaraz potem, drugi. Teczka, o nią im znowu chodzi. Mam ją, po raz pierwszy odpowiadam na uporczywe pytania. Chyba zbyt cicho. Mój głos jest jednak na tyle doniosły, że zaprzestają polewania. Chcą wiedzieć, gdzie jest oryginał. W bezpiecznym miejscu, zapewniam. Muszę łągać wiarygodnie. Gdybym dokument, dajmy na to, spalił, wykończyliby mnie bez gadania. Muszą mieć gwarancję, że teczka istnieje naprawdę po to, bym ja miał pewność przeżycia. Woda spływa po moim ciele. Odpływam wraz z nią.

* * *

Kropłówka nadal pompuje. To świadectwo, że znowu jestem w izolatce i, po raz nie wiadomo który, wracam do stanu normalnego. To, co dla mnie jest normą, nie jest nią dla nikogo więcej. Bóg wie, jak długo poniewieram się na tym łóżku. Ale obecny stan jest dla mnie o tyle znośny, że nie dręczą mnie koszmary senne. Nikt się nade mną nie znęca fizycznie. Niestety, pozostaję sam na sam ze swoimi domysłami. To także doskwiera. Jestem zdany na łaskę przypuszczeń i bolesnych wspomnień. Chociaż? Drzwi się otwierają i przy mojej kozetce siada niebrzydka kobieta. Czy ją znam? Bezpośredniość, z jaką dziewczyna zachowuje się wobec mnie, każe przypuszczać, że tak. Gładzi po rękę, całuje w policzek, opowiada jakieś nieistotne historie. Może to ktoś mi bliski? Na przykład żona lub narzeczona? Dlaczego w takim razie zjawiała się tak późno? W wypowiedzianych przez nią kwestiach brakuje czegoś, na czym mógłbym oprzeć swoje rozważania. Nie ma obrączki na palcu, więc nie jest moją żoną. Ja mam. To też jakiś znak. A może... Tak, to niewykluczone. Jeśli

oni ją przysłali, zapyta o teczkę. Jeżeli nie wprost, to przynajmniej będzie krążyła wokół tego tematu. Weźmie mnie pod włos. Ale jak? Przecież ja nie mówię, a jej to wcale nie dziwi. Jej w ogóle nic nie dziwi. Nawet moja gorejąca rana. Całuje ją. To nawet przyjemne. Dziewczyna ma w oczach łzy. Zostawia mi zdjęcie, żegna czule i wychodzi. Fotografia przedstawia kobietę w uścisku z jakimś facetem i trójką dzieciaków. Czy ich znam? Za dużo tych pytań. Sen przychodzi w samą porę.

* * *

A więc mają tę pieprzoną teczkę. Któryś z oprychów podsuwa mi ją pod nos. W środku są jakieś dokumenty. Rzekomo wszystkie mają świadczyć przeciwko mnie. Jest więc motyw zabójstwa. Na własną rękę wdarłem się do domu Kogoś Bardzo Ważnego, zabiłem go w poszukiwaniu kompromitujących dowodów, którymi ten mnie szantażował. A to oznacza, że nie zostałem tam przez nikogo wysłany. Nie miałem mocodawców, ani popleczników. Wrabiają mnie, chcą mieć kozła ofiarnego. Papiery, na których im zależało, już odzyskali. Dopóki ich nie mieli, trzymali mnie w rezerwie: a nuż się jeszcze przydam, gdyby przyszło co do czego. Ale teraz jestem zbędny. Mało tego, muszą mnie natychmiast zlikwidować, bym nie zdążył nikogo obciążyć. Najlepiej *lege artis*. Taka zbrodnia sądowa. Chcą być kryci w majestacie prawa. Tylko żebym nie zdążył powiedzieć przy podniesionej kurtynie. Dlaczego tak myślę? Po co aplikują mi jakieś środki odurzające? Mam być posłuszny ich sugestiom. Jeżeli chcieliby mnie wykończyć po cichu, zrobiliby to. Jedynym wolnym od ich wpływów stanem, jest ten obecny. W nim nie mają nade mną kontroli. Teraz, w półśnie, mogę kalkulować. To paradoks, ale też i prawda. Każą wziąć do ręki papiery i przeczytać je. Odmawiam. Wiem, że brakuje im moich odcisków palców, a może i autografu na dokumentach z teczki. Jak będą chcieli, poradzą sobie i beze mnie. Zmuszą, zaszantażują, a odciski i podpis sami wezmą. Co mogę zrobić? Jeśli chcę pokrzyżować szyki tej bandy, wyjście jest tylko jedno. Bo tortur dłużej nie wytrzymam.

* * *

Pyta pan, prokuratorze, o zmarłego nieszczęśliwie Lechosława B.? Istotnie, byłem lekarzem nadzorującym jego kurację. Pan wie, że denat spowodował wypadek samochodowy, w którym tragicznie zginęli jego pasażerowie oraz kierowca jadącego z naprzeciwka citröena? To było osiem dni temu na pobliskiej trasie szybkiego ruchu. Lechosław B. prowadził pojazd pod wpływem środków odurzających. Nie, alkohol nie wchodził w rachubę. Gdyby tak było, tragicznie zmarła żona Lechosława B. zapewne nie zezwoliłaby mu na prowadzenie samochodu. To musiały być silne środki psychotropowe. W wyniku wypadku zginęło pięć osób: pasażer citröena, żona Lechosława B. oraz trójka jego dzieci. Jego samego przewieziono do naszej kliniki krótko potem. Był mocno pokiereszowany, miał głęboką ranę na piersi. Poduszka powietrzna w jego aucie otworzyła się, ale i tak doszło do poważnych obrażeń z przemieszczeniami kostnymi. Ale dla niego nie to było najważniejsze. Mężczyzna, co zrozumiałe, musiał doznać szoku na skutek przeżyć. No i oczywiście doszło do głosu poczucie winy, jakim słusznie zresztą, obarczył się za całą kraksę i śmierć tych pięciorga ludzi. Medycyna nie ogarnia wszystkich złożonych przypadków ludzkich. Widzi pan, prokuratorze, Lechosław B., choć, ucierpiał w wypadku mniej niż pozostali, nie był w stanie utrzymać się w stanie przytomności, a ściślej, nie chciał tego zrobić. Z jednej strony mu się nie dziwię, bo komu by zależało na życiu ze świadomością pogrzebania pięciu osób, w tym trójki własnych dzieci? Ale z drugiej strony Lechosław B. sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie przyjmował do wiadomości tej okrutnej prawdy. Wydawał się przeżywać swoją tragedię w jakiś inny, niezrozumiały sposób. Zamknął się w swoim świecie i udawał, że nikogo nie poznaje. Jego siostra była tutaj, a on nawet się do niej nie odezwał. To mogła być celowa ucieczka w obłąd, bo pacjent przez cały okres kuracji szeptał do siebie jakieś niestworzone historie rodem z kryminału. Finał pan zna. Dziś w nocy przegryzł kroplówkę. Proszę, to

są drobiazgi, które po nim zostały: zdjęcie z żoną i dziećmi, zegarek, portfel. O, jest nawet nożyk do cięcia papieru.